

informato**r**

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 221
sierpień 2007
oraz 1 i 2 września



**RELACJA
Z POLCONU
2007**

MOJE IMPRESJE Z POLCONU-GIGANTA

Tegoroczny Polcon był moim piątym Polconem. Pierwszy zaliczyłem w Sobieszewie. Ale były to jeszcze lata 80. – nie różnił się on więc dla mnie od wcześniejszych Norconów: polegał głównie oglądaniu na wideo zaległości filmowych. Dwa pozostałe GKF-owskie Polcony upłynęły albo w cieniu Nordconu (poloconowski dzień podczas PiN-u), albo w cieniu Euroconu (połączenie konwentu ogólnopolskiego z ogólnoeuropejskim). Wyraziście wspominam pobliski Polcon w Elblągu, choć byłem tylko jednodniowym gościem w bloku komiksowym. Do tegorocznej Warszawy nie wybierałem się. Ale spotkał mnie zaszczytny obowiązek reprezentowania GKF-u w kilku punktach programu, zostałem też przez klub oficjalnie oddelegowany. Staralem się więc w ten pierwszy weekend września uczciwie zapracować na owo wyróżnienie. Stąd m.in. ów „postpolconowski” wstępniak...

Hotel „Gromada” znałem już. Przed rokiem byłem tam na służbowej delegacji, nb. wraz z AlBertem. Wtedy popełniłem błąd komunikacyjny: jechałem z dworca Śródmieście podmiejską kolejką (naczeakałem się, potem jeszcze spory spacer do hotelu); teraz, dzięki informacji od Organizatorów, szybko dojechałem miejskim autobusem spod Centralnego pod „Gromadę”. Wcześniej, w nocnym (sezonowym „kołobrzeskim”) pociągu, nie było tłoku. Powrót samochodem (z Bogusiem, Krzysztofem i Januszem) też nie był stresujący – sznur samochodów ciągnął w drugą stronę. Zaś piętrowe łóżko w akademiku wytrzymało 100 kg żywej wagi – i nie spadłem w środku nocy na Papier. Jedynym moim dyskomfortem był potworny (i nie-kacowy!) ból głowy, męczący mnie przez sobotnie popołudnie i wieczór.

W sobotę rano, natychmiast po akredytowaniu się, znalazłem salę, w której zaplanowane było „wampiurze” spotkanie autorskie. Rozwiesiłem wystawkę z oryginalnych plansz (w tym rewers okładki czwartego tomiku, z pieczętką cenzury z 2 czerwca 1989 r.). Samo spotkanie odbyło się w równie miłym, co kameralnym gronie; mówiłem o historii „Wampiurów”, fascynacjach komiksową groteską, środkach wyrazu charakterystycznych dla tej dziedziny sztuki, perypetiach GKF-u z cenzurą, występowaniu wulgaryzmów w sztuce; przez chwilę naszą grupkę sfilmowała ekipa Superstacji. Po mnie, w tej samej sali, Papier przypomniał, z użyciem rzutnika multimedialnego, historie Nordconów. Z uwagi na problemy techniczne – czasu starczyło tylko do Zakładu Karnego (nb. ostatniego „mojego” Nordconu). Później, już na gorze, głosowanie na Forum Fantomu. Z czystym sumieniem i najgłębszym przekonaniem podniosłem rękę za Gdańskiem. Ale „vox populi, vox Dei” – trzymam teraz kciuki, by w Łodzi wszystko udało się jak najlepiej. Niezapomnianym (bo pierwszym) przeżyciem był dla mnie udział w komisji liczącej głosy do Nagrody Zajdla, pod niezawodnym przewodem Lecha Olczaka. A w międzyczasie zostałem pasowany na Smoka Fandomu (miło mi, że ta moja, dość kameralna, działalność została zauważona i doceniona; dziękuję). Z dużą sympatią obejrzałem prezentację klubów starwarsowych: te kostiumy i modele są naprawdę porównywalne z dokonaniem bractw rycerskich! Nie pojawili się, wcześniej zapowiedziani, autorzy „Jeża Jerzego” (a chciałem im wręczyć oryginał rysunku „Mady y Yeż”, z dedykacją!). Wojciech Orliński opowiadał o kulturze popularnej, jej niejednoznacznej definicji, relacjach między nią a kulturą wysoką oraz rozmaitych teoriach na ten temat; ujednolicenie tego wszystkiego okazało się zresztą niemożliwe. O uroczystości zajdlowsko-finałowej nie będę się rozpisywał, wszyscy wiedzą już wszystko. Nazajutrz nie odbyło się spotkanie z Kulturą Gniewu nt. komiksu społecznego. Lech Jęczmyk opowiadał o wydawaniu fantastyki w PRL-u: o płaceniu zagranicznym pisarzom niewymienialnymi złotymi, o łagrowych wspomnieniach pisarzy z ZSRR, o naciskach cenzury (to było gorsze niż Miller i Kaczyński razem wzięci!). Wojciech Orliński mówił o Lemie (szczególnie smakowite były kawałki o grafomańskich początkach przyszłego mistrza!). Na wykładzie księdza Kalemy o wierze w pisarstwie Tolkiena nie mogliśmy już zostać: czas było ruszać...

Był to nader udany konwent – podziękowania i pozdrowienia dla Wszystkich!

JPP

URODZINY

Drodzy październikowi Jubilaci!

Najlepszym urodzinowym

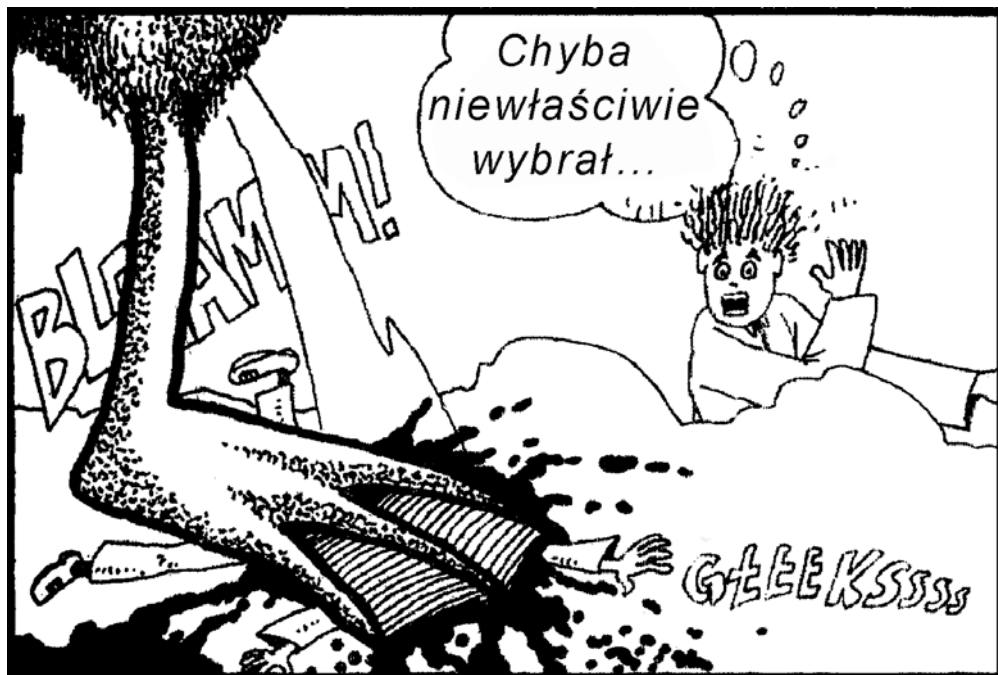
Prezenterem dla Was

i dla nas wszystkich

byłoby dokonanie przez Was

WŁAŚCIWEGO WYBORU...

- 2 Mieczysław Sierociński
- 3 Andrzej Zimniak
- 10 Rafał Gosieniecki
- Krzysztof Grzywnowicz
- 13 Tomasz Kołodziejczak
- 19 Karolina Górka
- 21 Grzegorz Kozubski



W „GROMADZIE” O FANTASTYCE

Tegoroczny Polcon pod wieloma względami miał być wyjątkowy - i rzeczywiście taki był. Po pierwsze, odbywał się w Warszawie, co gwarantowało zwiększone zainteresowanie mediów i wysoką frekwencję. Po drugie, pierwszy raz w historii Polcon był reklamowany poprzez spoty w telewizji. Po trzecie, wartość zgromadzonych nagród sięgnęła według organizatorów 70 tysięcy złotych. Po czwarte, nigdy wcześniej Polcon nie odbył się w profesjonalnym centrum konferencyjnym (w hotelu Gromada). Impreza miała być wyjątkowa również dla nas - ponieważ GKF ponownie zgłosił swoją kandydaturę do organizacji Polconu. W Warszawie pojawiła się liczna delegacja klubu, a przed wyjazdem przygotowaliśmy liczne plakaty, którymi chcieliśmy zarzucić cały teren imprezy.

Do stolicy przyjechałem w czwartek wieczorem. Pierwsze chwile poświęciłem głównie na powitania z tysiącem znajomych i przyjaciół i na rozdawanie ulotek reklamujących Polcon w Gdańsku; przed oficjalnym rozpoczęciem trafiły do dwustu osób. Nie było już czasu na żadne punkty programu - pojawiłem się tylko na uroczystym otwarciu, w czasie którego ekipa ze Śląska zaprezentowała zabawny spektakl „Córeczka tatusia” (Kuba Ćwiek przekonująco umarł, Pewuc świetnie zagrał wyrachowanego tatusia). Zostałem jeszcze na benefisie z okazji dwudziestolecia twórczości Marka Huberatha (bardzo sympatyczny).

Wieczorem trafiłem do trochę obscurnego akademika (niestety daleko od konwentu - w odległości kilku przystanków autobusem lub pół godziny piechotą). Wpadłem jeszcze na pół godziny do pobliskiego baru i dosiadłem się do Pawła Ostrowskiego z Agatą i Piotrka Florka z połowicą. Potem stosunkowo wcześniej poszedłem spać, jako że przyjechałem prosto z pracy.

Następnego dnia całe rano zajęło mi rozwieszanie giekaefowskich plakatów. Sporo czasu spędziłem też na tarasie z malowniczym widokiem, na którym serwowano kaszankę z grilla, między innymi w towarzystwie Puszona i Jacka Komudy. Na moment zajrzałem na panel o tworzeniu z udziałem Tada Willimasa, Hala Duncana i Marka Huberatha. Potem wziąłem udział w konkursie tolkienowskim. Poszło średnio, zresztą w środku musiałem opuścić drużynę, bo zaczynało się spotkanie Smoków Fandomu, na którym zostałem pasowany na Smoczka. Zaszczyt ten spotkał również Michała i PiPiDzeja, którzy dojechali później. Następnie udałem się na prelekcję Maćka Górczyńskiego, który przedstawił swoją interpretację Pana Kleksa (Era Wodnika, ezoteryka, pedofilia).

Kolejnym punktem programu był konkurs wiedzy o „Diunie”, przygotowany przez Fokę z mężem i Marka Michowskiego. Utworzyliśmy drużynę z prezesem ksywa Prezes i była to dobra decyzja, ponieważ po głównej części rywalizacji byliśmy ex aequo na pierwszym miejscu. Przegraliśmy dopiero w dogrywce, ale i tak zarobiliśmy trochę konwentowych kredytów (zamieniało się je na nagrody, później „kupiłem” za nie „Jeża Jerzego”).

Następne w programie było bardzo długie spotkanie o filmie, który powoli staje się w fandomie legendą - czyli o „Gwiazdach w czerni” Staszka Mąderka. Niestety nie udało się zakończyć produkcji i montażu, ale zaprezentowane fragmenty robiły duże wrażenie.

W piątek wieczorem odbyła się jeszcze prezentacja kandydatur do organizacji Polconu 2009. Razem z Michałem zaprezentowaliśmy naszą (Wydział Filologiczno-Historyczny UG, parę pomysłów na program). Po nas wystąpił Tredo z Łodzi, który obiecał połączenie Polconu z Międzynarodowymi Targami Fantastyki i współpracę z Wyższą Szkołą Filmową. W tym momencie zaczęliśmy zastanawiać się, czy mamy jakiegokolwiek szanse, ale postanowiliśmy walczyć dzielnie do końca.

Następnego dnia miałem dużo zajęć. Najpierw wziąłem udział w spotkaniu Związku Stowarzyszeń „Fandom Polski”. Zaraz po nim zebrało się Forum Fandomu, które miało wybrać organizatora Polconu. Razem z Tredem powtórzyliśmy prezentację. Rywalizacja okazała się bardzo zacięta. Kiedy Szaman obliczył, że 38 głosów zostało oddanych na Gdańsk, wydawało mi się, że wygraliśmy. Zaraz okazało się jednak, że nasi rywale dostali 41 głosów. 9 osób wstrzymało się. Pogratulowaliśmy zwycięzcom.

Zaraz po Forum Fandomu udałem się na spotkanie z Tadem Williamsem, które prowadziłem. Zaczęło się fatalnie, bo nie poradziłem sobie z tłumaczeniem symultanicznym (dopiero wtedy rozumiałem, jak piekielnie ciężka jest ta robota). Na szczęście poradowała mnie w roli tłumacza Ania Studniarek, a ja już spokojnie poprowadziłem spotkanie po polsku. Autor wyjątkowo ciekawie opowiadał o różnych wykonywanych zawodach (np. sprzedawanie butów) i o tworzeniu świata powieści.

Potem pokręciłem się po konwencie, zwłaszcza w strefie wydawania kaszanki. Pogadałem trochę z delegacją z Białegostoku, Markiem Huberathem i paroma innymi osobami. Zajrzałem na salę, a której antropolog mówił o archetypach Junga. Miałem nadzieję posłuchać Rafała Skarzyckiego i Tomka Leśniaka, autorów „Jeża Jerzego”; niestety okazało się, że nie przybyli, obecny był tylko Jeż Jerzy we własnej osobie. Wobec tego udałem się na prelekcję Michała Studniarka o filmach w systemie Machinima. Chwilę później w zapchanej po brzegi sali Wojtek Orliński mówił o ogólnej teorii popkultury.

Potem było oficjalne zakończenie. ŚKF przedstawił aż dwa spektakle. Zajdle zostały w rodzinie – za opowiadanie dostała go Maja Kossakowska za „Smok tańczy dla Chung Fonga”, a za powieść – Jeremiasz za „Popiół i kurz”.

Tego dnia wieczorem zorganizowaliśmy imprezę klubową w pokoju Papiera, Bogusia i PiPiDżeja. Do Michała i mnie dołączył później Harcerz. Opiliśmy porażkę, ale jej gorycz ostudziła nam zapojka. Tak zakończył się dla mnie konwent, bo w niedzielę nie wróciłem już do „Gromady”, udając się prosto na pociąg.

Impreza nie była aż tak wyjątkowa, jak się zapowiadało (między innymi opóźniony był druk informatora), ale nie zgadzam się z tymi, którzy na nią narzekają. Były tylko dwa poważne mankamenty – duża odległość od akademika i wysokie ceny jedzenia, ale wynikało to ze specyfiki Warszawy. Pewnym zgrzytem był też konflikt z częścią potencjalnych gości, którzy nie chcieli płacić za wstęp na konwent.

Mimo wszystko warszawski Polcon był bardzo udany. Centrum konferencyjne idealnie nadawało się na tego typu imprezę. Liczba uczestników pobiła wszelkie rekordy. Świetnym pomysłem były targi popkultury ze stoiskami wydawców i innych firm. Ilość nagród robiła wrażenie. Przez cztery dni punkty programu odbywały się jednocześnie w dziesięciu salach. No i jak zwykle była świetna atmosfera, której służyło m.in. zorganizowanie miejsca spotkań na tarasie.

Polcon w Warszawie przejdzie do historii jako jeden z najbardziej udanych. Miejmy nadzieję, że kolejni organizatorzy zdołają utrzymać jego wysoki poziom. Pozostaną mi po nim miłe wspomnienia.

Marcin Szklarski

P.S. Papiera: Jeszcze jeden mały minus, który odczułem na własnej skórze. W salach prelekcyjnych organizatorzy umieścili dziadowskie laptopy (chyba przeznaczone dla przedszkolaków). Kolejne slajdy mojej prezentacji potrzebowały 20 sekund, aby się uwizualnić.



NIUSY

ZAJDLE ROZDANE

W czasie uroczystości zamknięcia Polconu 2007 w Warszawie wręczono Nagrodę im. Janusza A. Zajdla za 2006 r. Otrzymali ją:

- w kategorii **powieść**: Jarosław Grzędowicz za „Popiół i kurz” (Fabryka Słów);
- w kategorii **opowiadanie**: Maja Lidia Kossakowska za „Smok tańczy dla Chung Fonga” (antologia „Księga smoków”, RUNA).

MNS

DAGOBAH 2007: BYĆ JAK DARTH VADER



W dniach 3-5 sierpnia br. odbył się w Gorzowie Wielkopolskim kolejny gwiazdnowojenny konwent zorganizowany przez Gorzowskie Stowarzyszenie Miłośników Star Wars "Dagobah". Gości imprezy byli dwaj anglosascy aktorzy - Paul Blake (grał w episode IV) i Gerald Home (grał w episode VI). Zostało też spełnione marzenie (Fundacja "Mam Marzenie") 10-letniego Wojtka chorego na mukowiscydozę, który pragnął otrzymać strój Lorda Vadera oraz spotkać się z innymi

fanami gwiazdnej sagi.

jpp

ĆWIERĆWIECZE PŁYTY KOMPAKTOWEJ

Dnia 17 sierpnia 1982 roku, z położonej koło Hannoveru tłoczni koncertu "Polygram", wyszedł pierwszy muzyczny longplay zapisany na płycie CD. Był to album "The Visitors" - notabene ostatnia płyta kwartetu "Abba".

Sam zerojedynkowy zapis muzyki miał znacznie więcej szczęścia: do tej chwili wyprodukowano na świecie ponad 200 miliardów płyt z najrozmaitszą muzyką!

Teraz luksusem dla koneserów stały się, wydawane w limitowanych seriach, tradycyjne płyty winylowe...

jpp

OD 8 SIERPNIATRWA KOLEJNY LOT KU CZWARTEJ PLANECIE

Amerykańska rakieta nośna "Delta" z przeznaczonym do zbadania północnej strefy polarnej Marsa próbnikiem "Phoenix" pomyślnie wystartowała z kosmodromu na przylądku Canaveral. Lądowanie "Phoenixa" na Czerwonej Planecie ma się odbyć 25 maja 2008 roku; próbnik przebędzie do tego czasu dystans 681 mln kilometrów.

jpp



DRUGI „TERMINATOR” OTWORZYŁ KOLEKCJĘ

Od pierwszego sierpniowego piątku „Gazeta Wyborcza” oferuje kolejny cykl filmów na DVD. Tym razem pod hasłem wielkich kinowych hitów.

Zainaugurował ją jeden z największych przebojów fantastycznego kina akcji: „Terminator 2” Jamesa Camerona.

jpp

TARKOWSKI WIECZNIE ŻYWI

3 sierpnia, w Rosyjskim Centrum Nauki i Kultury w Gdańsku, przypomniany został „Stalker” Andrieja Tarkowskiego – nakręcony na początku lat 80. według „Pikniku na skraju drogi” Strugackich.

jpp



W SZEŚDZIESIĄTĄ TRZECIĄ ROCZNICĘ SZEŚDZIESIĘCIU TRZECH DNI

W dziesiątym numerze dwutygodnika „Express Powiatu Wejherowskiego” ukazał się wywiad, jaki Jan Plata-Przechlewski przeprowadził z Tomaszem Meringiem, rysownikiem komiksowym.

Wywiad ów dotyczył komiksu o Powstaniu Warszawskim – rysowanego do antologii, której wydawcą jest Muzeum Powstania Warszawskiego.

Antologia ta będzie pokłosem konkursu, o którym Tomasz Mering dowiedział się z informacji umieszczonej w portalu internetowym Nowa Gildia.

red.

PRZEGLĄD FILMÓW STUDIA GHIBLI

We wrześniu i październiku odbędzie się w Polsce objazdowy pokaz filmów anime wyprodukowanych w słynnym Studiu Ghibli. W planie są m.in. „Mój sąsiad Totoro”, „Nausicaa z Doliny Wiatru”, „Opowieści z Ziemiomorza” i „Spirited Away – w krainie bogów”.

Terminy:

Warszawa: 28.09. – 07.10., Kinoteka

Kraków: 28.09.–07.10., Kino Pod Baranami

Łódź: 02 – 11.10. – Kino Charlie

Poznań: 09 – 18.10. – Kino Apollo

Wrocław: 09 – 18.10. – Kino Warszawa

Katowice: 12 – 21.10. – Kinoteatr Rialto

Gdańsk: 19 – 28.10. – Kino Kameralne

Szczecin: 19 – 28.10. – Kino Pionier

MJS za www.tvn24.pl

RETRO TECHNIKA W SŁUŻBIE REKLAMY

W drugim tygodniu września nad Łodzią pojawił się bliżej niezidentyfikowany sterowiec. Po ważniejszej obserwacji okazało się jednak, iż jest to reklama aukcji internetowej Allegro. Dodatkową atrakcją była możliwość lotu owym wehikułem ponad miastem. I tak oto machina, którą można było dotychczas podziwiać w filmach retro, okazał się użyteczna dla firmy internetowej.

AdaM



SOCJOLOG W KOSMOSIE

Janusz A. Zajdel, *Zjawa*,
[w]: tenże, *Przejście przez
Iustro*, Warszawa 1975, wyd. Iskry



Janusz Andrzej Zajdel to nie tylko autor powieści z kręgu fantastyki socjologicznej. Jest on również autorem utworów demitologizujących podbój Kosmosu. Oczywiście demitologizacja romantycznego mitu o przekraczaniu kosmicznej *frontière* nie jest w rodzimej literaturze fantastycznej jego zasługą – najciekawszą wszak kreację „Wszechświata codzienności” stworzył w *Opowieściach o pilocie Pirxie* Stanisław Lem. On też połączył w *Terminusie* technikę z elementami opowieści grozy. Podobnie czyni Zajdel w opowiadaniu *Zjawa*. Czyni on jednak w tym utworze coś więcej. *Zjawa* jest bowiem nie tylko satyrą na niepoznawalność odległego Wszechświata, lecz również refleksją nad mechanizmami ludzkich zachowań.

Fabula opowiadania jest prosta i – podobnie jak w większości krótkich form Zajdla – oparte na pomysłach. Wstępne refleksje dotyczą powstawania mitu i jego funkcjonowania w obrębie społeczności (w tym wypadku wśród kosmonautów odwiedzających Klub w bliżej nieokreślonym Kosmoporcie). Konkretyzacja czasu i miejsca akcji nie jest konieczna, ponieważ Zajdel mówi o sprawach uniwersalnych. Potwierdzeniem tej tezy jest odwołanie narratora (będącego, dla uwiarygodnienia fabuły, również protagonistą utworu) do epoki wielkich odkryć geograficznych. Sama przytoczona historia, będąca potwierdzeniem słów narratora wyłożonych we wstępie, również nie jest autoryzowana żadnym imieniem. Z treści utworu wynika jedynie, że opowiadający wraz ze swym towarzyszem – Krisem – przewozili statkiem kosmicznym aparaturę dla stacji badawczej na Marsie. W trakcie lotu miał miejsce drobny, pozornie bez znaczenia, wypadek – pojazd wpadł w silną wibrację. Po zakończeniu manewru bohater opuścił kabinę sterowni i wtedy to właśnie natknął się na unoszącą się w powietrzu kulę. Kontakt ze zjawiskiem przywołał z pamięci opowieść innego kosmonauty, Keltora, o *srebrnej kuli prześladowanej rakiety w strefie Planetoid* (s. 160). Informacja ta zdeterminowała dalsze postępowanie bohatera, który uznał przybysza za wroga. Od tej chwili wszelka podjęta aktywność zmierzała do unicestwienia „obcego”. Atawistyczne instynkty, które opanowały narratora, doprowadziły do wyrzucenia nieznannej istoty ze statku. Dopiero wtedy przyszedł czas na myślenie i gorzką konkluzję: *zachowałem się tak jak przysłało na średniowiecze – zamiast rzecz dokładnie zbadać, wyrzuciłem problem za okno* (s. 163). Świadomość klęski potęguje odkrycie, czym w rzeczywistości był intruz. W trakcie rutynowego obchodu odkrywa on w ładowni unoszący się w powietrzu pojemnik, którego pokrywa była uchylona, a wokół błyszczały krople rtęci. Rozwiązanie zagadki nie przynosi jednak satysfakcji. Logiczne powiązanie w całość pozornie niezależnych faktów – błędu w manewrowaniu, wyglądu intruza – przyszło zbyt późno. Stąd przejście nad wydarzeniem do porządku dziennego i twierdząca odpowiedź na pytanie Krisa: *Wszystko w porządku*?

Wykorzystanie tradycyjnych dla fantastyki rekwizytów: kosmicznej próżni, osamotnienia kosmonauty skazanego na przebywanie przez długi czas w ciasnych

pomieszczeniach kosmolotu, spotkania z inną formą życia, podkreśla ich pretekstowość. Jednakże to nie sztafaż rekwizytów stanowi o walorach opowiadania. Od fabuły istotniejsze są implikacje wynikające z owego „spotkania”. Cel został wprawdzie osiągnięty i bohater poznaje odpowiedź na dręczące go pytania o pochodzenie i zamiary niespodziewanego gościa, zarazem jednak poznaje również siebie. I nie jest to wiedza, która mogłaby mu przynieść satysfakcję. Poddany próbie obnaża drzemiące w nim prymitywne odruchy, nakazujące zniszczyć wszystko, czego nie rozumie. To, co obce jest potencjalnie wrogim i dlatego profilaktycznie należy owo niebezpieczeństwo zlikwidować – nawet za cenę ośmieszenia. Czyż postępowanie to nie wydaje się nam znajome?

Adam Mazurkiewicz

ZANIM PRZECZYTACIE PO POLSKU

TRZECIE SMOCZE JAJO

Po tej książce widać już chyba wyraźnie, że szykuje się kolejny tasiemiec książkowy, którego kolejne części będzie można pisać przez wiele lat. A że odbiór jest pozytywny, to Novik pewnie zacznie się utrzymywać wyłącznie z pisania.

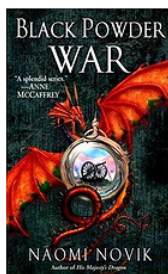
Muszę przyznać, że padłem ofiarą bardzo pozytywnych recenzji całej serii **Temeraire**. Po okazjonalnej cenie nabyłem wszystkie trzy do tej pory wydane książki w jednym wydaniu typu omnibus i chyba trochę się zawiodłem. To nie jest tak, że są to złe książki, ale chyba dosyć mocno rozminęły się z moimi oczekiwaniami, stąd może zbyt surowo je oceniam.

Black Powder War w mojej ocenie jest lepszą powieścią niż **Nefrytowy tron**, choć wciąż czegoś jej brak. Najbardziej na niej ciąży to, że to po prostu kolejny fragment większej całości i w żaden sposób nie da się jej czytać w oderwaniu od pozostałych. Raz, że uniwersum powieści jest po raz kolejny rozbudowywane o nowe elementy (np. dziko żyjące smoki z własnym językiem), a dwa, że to niestety ciąg kolejnych przygód, które samodzielnie poznawane byłyby w zasadzie niezrozumiałe. I to mam Novik za złe, bo każda z powieści kończy się czymś na kształt cliffhanger'a, a jednocześnie ma pewne, było nie było, zakończenie głównego wątku książki. Mój problem polega na tym, że takie połączenie w przypadku serii **“Temeraire”** się po prostu nie broni i rozwiązanie, jakie stosuje Novik, budzi we mnie irytację, bo choć jestem fanem długasných cykli, to o wiele łatwiej przychodzi mi zaakceptować te, w których poszczególne tomy mają swoje wyraźne podsumowania.

Black Powder War, w odróżnieniu od **Nefrytowego tronu**, służy podróż przez pół świata, bo **Temeraire** wraz z Lawrencem na polecenie Admiralicji muszą tym razem z Chin udać się do Turcji, by tam odebrać trzy smocze jaja. A ze Stambułu trafiają do Prus toczących wojnę z Napoleonem i wreszcie akcja nabiera trochę tempa, zwłaszcza że wreszcie pojawia się sam Napoleon i ktoś, kto zapewne będzie głównym czarnym charakterem całej serii. Jednak najbardziej ujęła mnie Novik dedykacją na początku książki i podziękowaniem mamie *“for many bajki cudowne”*, co zresztą znajduje swój wyraz pod koniec powieści wraz z pojawieniem się nowego smoka.

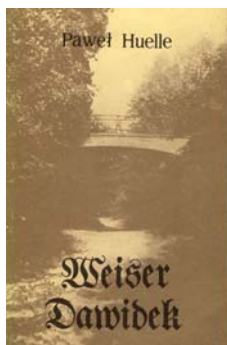
Septycznie podchodzę do dalszego rozwoju całego cyklu, bo ciężko mi uwierzyć w jakąś drastyczną poprawę w kolejnych odcinkach. Zapewne Novik będzie dodawała trochę szczegółów dotyczących smoków, zapewni kolejne sceny batalistyczne, ale to wciąż będzie prosta rozrywka, w moim przekonaniu głównie dla młodszych czytelników.

Maciej Maciejewski
www.maciejmaciejewski.pl



MÓJ SĄSIAD WEISER DAWIDEK

Trzeba mieć szczęście, by urodzić się, spędzić dzieciństwo i mieszkać w dzielnicy takiej, jak moja. Nie chodzi o to, że ładna, bo zwolna ładna być przestaje, choć jeszcze parę lat temu rzeczywiście była piękna i malownicza. Dziś, pod odnawianymi na potęgę elewacjami i jezdniami, bezpowrotnie giną ślady przeszłości, o której najmłodszy mieszkańcy pojęcia tu nawet nie mają. Stara dzielnica gdańskiego Wrzeszcza, z szeregiem ulic i uliczek pnących się pod górę, w stronę niewielkiego kościółka, co niczym strażnik broni wejścia do lasu. Wszystkie one, uliczki mojej dzielnicy, obstawione w większości po bokach wolno stojącymi domkami, gdzieniegdzie pamiętającymi jeszcze czasy ostatniej wojny, której piętno bystre oko przechodnia jest w stanie jeszcze tu i ówdzie wyłuskać, bo ani czas, ani postęp nie zdołały zetrzeć ich z odrapanych tynków. No i oczywiście jest on – las. Wszechwładnie panuje nad całą okolicą, góruje nad nią, szumi, śpiewa, pachnie (o tym na końcu zdania) i kusi, przyzywa... błagając o litość, gdy coraz bardziej pogrąża się w odmętach śmierdzących śmieci. Ale przynajmniej my nie niszczy my w tej chwili magicznego nastroju i nie płoszymy genius loci tego miejsca.



Moja dzielnica jest jakby stworzona dla literatury, ba, dla filmu nawet, zawsze tak uważałem. Aż się prosi, by jakiś autor obdarzony niezwykłą wrażliwością i wyobraźnią, umieścił tu akcję swojej powieści, i to takiej, której bohaterami będą Nastrój i Tajemnica. By opisać, względnie sfilmować, nieprzebyte dla nas przed laty chaszczce porastające zbocza Toru Saneczkowego i Łysej, by uchwycić niepokojący urok kryjący się dla nas w tajemniczej nazwie góry Lagry, będącej, jak się z cza-sem okazało, niemyym świadkiem męczeństwa i cierpień radzieckich jeńców wojennych. Może to właśnie przez to jakaś trudna do określenia aura unosi się tutaj w powietrzu? Że o ruinach mostów na tonącym w zaroślach Wale – tak nazywaliśmy nasyp kolejowy, prowadzący przed wojną pociągi do Kokoszek – już nawet nie wspomnę. Aż nagle, masz

babo placek, jakim wyprorokował. W latach osiemdziesiątych okazało się, że moja dzielnica trafiła tam! Sama w sobie będąc wymarzonym miejscem dla Dzieciństwa, trafiła do Krainy Snu, służąc za tło onirycznej historii, co ja mówię „tło”, chwilami staje się przecież jej głównym bohaterem!

Naprawdę spore było moje zdumienie, kiedy zdałem sobie sprawę, że moim sąsiadem z dzieciństwa był... Weiser Dawidek, postać-zjawa, postać-złudzenie, senny omam, bohater cudownie magicznej powieści Pawła Huelle. Tak, on mógł mieszkać tylko tutaj, w mojej dzielnicy. Nie mieszkał wprawdzie na mojej ulicy, każda dzielnica składa się przecież z kilku, a czasem kilkunastu ulic, te z kolei z podwórek, tych nieprzekraczalnych sektorów wiecznie zwaśnionych, które pogodzić mógł jedynie mecz „w piłę” lub w palanta. Stawką meczu był zazwyczaj prymat i honor podwórka, święta rzecz.

A tak na marginesie: w miejscu, gdzie Weiser przechylił szalę zwycięstwa pamiętnego meczu, stoją dzisiaj spółdzielcze punktowce.

Mogliśmy z Dawidkiem mijać się na ulicy, na procesjach Bożego Ciała całkiem śmiało mogłem dostrzec go otoczonego dymem kadzideł, a już na pewno w sklepie Cyrsona, gdzie kupowaliśmy słynną czerwoną oranżadę. Nie wiedząc o swoim istnieniu, chodziliśmy do tej samej szkoły, która w tamtych czasach rzeczywiście nie miała dyrektora, tylko kierownika; szaleliśmy po tych samych leśnych ścieżkach i bawiąc się w wojnę wystruganymi z modrzewiowych gałęzi karabinami do krwi drapaliśmy ręce

i kolana w ostrych krzewach jeżyn; przedzieraliśmy się przez te same zarośla Bukowej Górki w stronę starego brentowskiego cmentarza. I choć nasza ulica tak tej góry nie nazywała, dla nas było to po prostu Miejsce Bez Żadnej Nazwy, idealnie nadające się do wspomnianych celów, tudzież do zabawy w chowanego.

Dziś brentowski cmentarz, szczególnie zaś jego północno-zachodnie skrzydło, z powodów, które wolę tu zmilczeć, znajduje się w opłakanym stanie. Resztki mogił, a wśród nich być może i ta, na której siedział, i w której się ukrywał Żółtoskrzydły, żałośnie dziś wyglądają z toni chwastów pochylonymi krzyżami i pordezewiałymi tabliczkami. Te tabliczki, opatrzone często-gęsto niemieckimi napisami, były dla nas wtedy nośnikami niepojętego sekretu i mijaliśmy je milcząc w zabobonnym lęku. Dziś nawet cisza nad nimi zapaść nie może, bo wyrosło tuż obok nowoczesne osiedle.

A wiecie, że rośnie jeszcze ta sosna, pod którą Elka po raz pierwszy wzięła w obronę Weisera, gdy po rozdaniu świadectw złośliwcy zniszczyli mu rower? To jest ta sama sosna, co rośnie za kościołem, na skraju maleńkiej polanki i traktu przez las, zwanego wtedy przez nas drogą Czarną (dziś ul. Jana Kiepury!), u stóp zrujnowanego małego mostu. A i mostek jest to dokładnie ten sam, który przyniósł się głównemu bohaterowi. Śmiem wspomnieć, że już sama okolica owego mostu, z panoramą Toru Saneczkowego i bajecznych Korzeni jest jakby żywcem wyjęta ze snu, w którym bohater powieści, Paweł, zobaczył nadjeżdżający od strony Oliwy przerażający, pusty pociąg. Maszynistą w tym śnie był Dawid. Pociąg nadjechał, na mostku się zatrzymał. Z plebanii nadszedł zakrystianin, chwilę o czymś z Weiserem rozmawiał, po czym pociąg ruszył w stronę brentowskiego cmentarza... po pasażerów.

Wszystko tu jest dokładnie takie, jak to opisał Huelle, dziwne, nierzeczywiste, nawet za dnia otoczone ciszą, kiedy idzie się w tunelu wyrastających niemal ponad głowę traw i chwastów, zanurzając się całym sobą w wilgotnym zapachu zroszonej, bujnej zieleni. Ale żeby tego doświadczyć, trzeba tu przyjść w dzień powszedni do południa, wtedy nikogo poza nami tu nie będzie. Cisza i pustka otoczą nas ze wszystkich stron. I cudowny, śpiewny, ptasi obłęd. Lecz jeszcze bardziej niezwykła jest tu noc. Nocą, jako próba odwagi, chodziliśmy bez latarek, drogą przez Wał, na brentowski cmentarz pod umówioną i wybraną za dnia mogiłę. Tam był punkt spotkań. Nocą las przestawał być zwykłym lasem i stając się Lasem, wyglądał tak, jakby był dotknięty tajemniczym zaklęciem, jakby już sam z siebie się śnił: w ciemności każdy krzaczek, górka czy leżący przy drodze kamień przybierały ludzkie kształty, każdy dźwięk wyostrzał zmysły, wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach, ręce pociły się ze strachu, ale przed kumplami nie można było pokazać cykora. Choć bał się każdy, nikt nie chciał się do tego przynąć. Zaczarowane miejsce, zaczarowane czasy. Dziś lepiej nocą tamtędy nie chodzić, dziki przestały bać się ludzi i podchodzą pod zabudowania. A poza tym gorsze od spotkania dzików i duchów, okazać się może nocne spotkanie z... człowiekiem. Dzisiaj człowiek bywa gorszy od ducha i dzikiego zwierza.

Całkiem niedawno zrobiłem sobie spacer do mostu, który Dawidek wysadził w powietrze. Śladów mostu nie znalazłem i to nie dlatego, że Weiser istotnie w tym miejscu urządził kolegom tajemne kąpielisko, ale dlatego, że Wał mniej więcej w tym właśnie miejscu nagle się urywa. Jak spod ziemi wyrasta tu dzisiaj gdańska Morena.

Coraz mniej śladów przeszłości, coraz bardziej zmienia się okolica. Bezpowrotnie znika coś, co nas ukształtowało, gdy byliśmy smarkaci, wiecznie utyłtani w leśnym błocie, kiedy byliśmy naprawdę szczęśliwi, a świat naprawdę należał do nas. Ten las, ta dzielnica były naszym całym światem. I chyba już nigdy nie będę umiał spojrzeć na moją dzielnicę inaczej, niż oczami sprzed lat, a to co zobaczę, będę mógł, jak mało kto, przeczytać w książce.

Andrzej Habasiński

Kilka mgnień SF

Miałem ostatnio przyjemność zapoznać się z kilkoma pozycjami SF na dużym i małym ekranie. Wypadałoby więc podzielić się choćby skromnymi uwagami.

Transformers – więcej niż myślisz

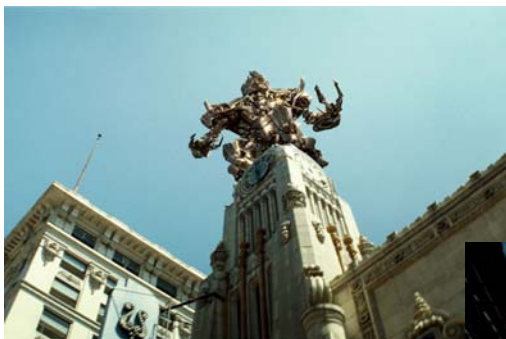
Nie będę ukrywał, że wychowałem się na Transformers. Zresztą był to jeden z najlepszych animowanych seriali lat 80-tych. Wprawdzie nie miałem okazji obejrzeć w tamtych czasach filmu w kinie, a było to wydarzenie prawie „pokoleniowe”, ale mimo tego jestem bardzo związany z tą franczyzą. Tak więc sceptycznie podchodziłem do fabularnej ekranizacji. Mimo obaw planowałem wyprawę do kina, aby spojrzeć prawdzie w oczy. Przeżyłem miłe zaskoczenie.

Z oryginalnego serialu zostało niewiele – roboty zamieniające się w ziemskie pojazdy (i nie tylko). Dobrzy i szlachetni przeciwko złym. Film jednak uzasadnił wiele „dziwnych decyzji” z serialu (np. nazwa autobots, „słabe” formy dla dobrych robotów, zmiana rozmiaru w różnych formach).

Większość filmu to niekończąca się akcja. Nie ma powolnych dłużyń, a dialogi są ograniczone do minimum i gdy już występują, są na ogół zabawne i krótkie. Uniknięto patosu (czego się obawiałem), choć czasami reżyser bawi się nami i sugeruje, że za chwilę nastąpi ambitne przemówienie.

Miłymi niespodziankami było też zachowanie bohaterów – zasadniczo brak słabo umotywowanych odruchów idiotycznych, które sztucznie mają komplikować fabułę lub wydłużać czas trwania filmu. Film też nie razi oklepanymi schematami. No, może poza jednym.

Nie łudźmy się, nie jest to kino ambitne. Ale jest to najlepszy film akcji, jaki widziałem od dawna. Zdecydowanie warto przejść się na niego do kina.



Next

Film zdecydowanie przereklamowany, ale do obejrzenia. Nie przepadam za Cage'm, a jego związek z główną bohaterką (ze względu na różnicę wieku) wygląda podejrzanie, a niewiele wnosi do fabuły.

Jeżeli chodzi o samą fabułę, jest poprowadzona w miarę sprawnie, choć w kilku momentach nie do końca wiedziałem o co chodzi. Aktorstwo na poziomie przyzwoitym. Trochę rażą niedokończone wątki poboczne.



Sunshine

Ten film powalił mnie na kolana. Klasyczne SF – mała grupa astronautów leci w kierunku Słońca, by zdetonować bombę, która ma znowu rozpalić naszą gwiazdę. Poprzedniej ekipie się nie udało, a na wysłanie następnej nie ma już zasobów na Ziemi. Kłopoty w drodze płyną z ludzkich słabości – nawet tych najprostszych.

Film ma stosunkowo niski budżet i tym bardziej poraża pięknymi efektami specjalnymi, które nadają mu swoisty klimat, natomiast nie odciągają od treści filmu. Jeżeli do tego dodać nienaganne aktorstwo i próba zachowania zgodności z naszym poziomem wiedzy naukowej, otrzymujemy film, który koniecznie należy obejrzeć.



Masters of Science Fiction

Ten (za) krótki serial – ledwo cztery odcinki – to ekranizacja czterech opowiadań uznanych autorów SF (m.in. Heinlein). Zdecydowanym atutem (mini?) serialu jest obsada aktorska składająca się z aktorów, których „kojarzymy”, ale mamy trudności z przypisaniem nazwiska (min. Terry O'Quinn, William B. Davis, Malcolm McDowell, John Hurt). Po jakości realizacji nie widać, że jest to produkcja telewizyjna, co tylko podnosi przyjemność z oglądania tej serii.





Tomasz Mering

Urodzony w 1977 roku w Wejherowie, którego mieszkańcem jest do dziś. Absolwent Wydziału Inżynierii Lądowej Politechniki Gdańskiej. Od dzieciństwa miłośnik komiksu, pierwszą własnoręcznie narysowaną historię obrazkową stworzył w czerwcu 1989 r.



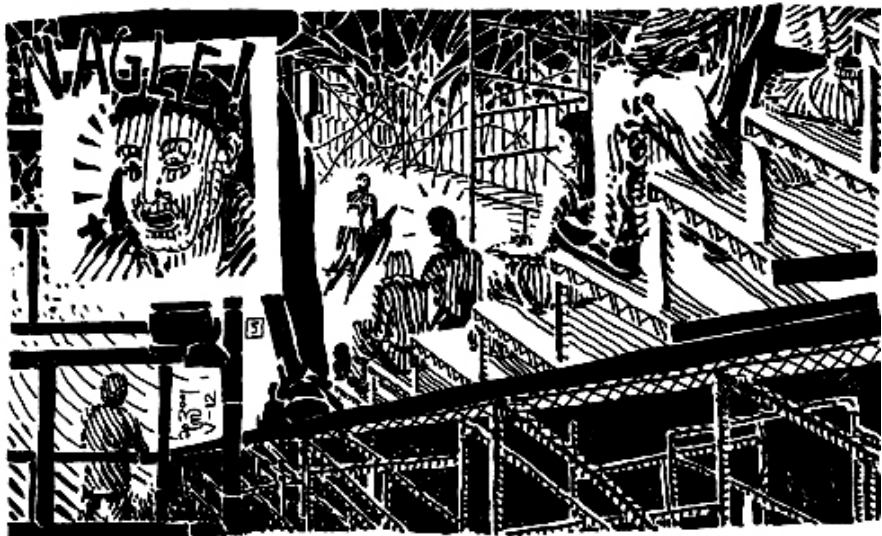
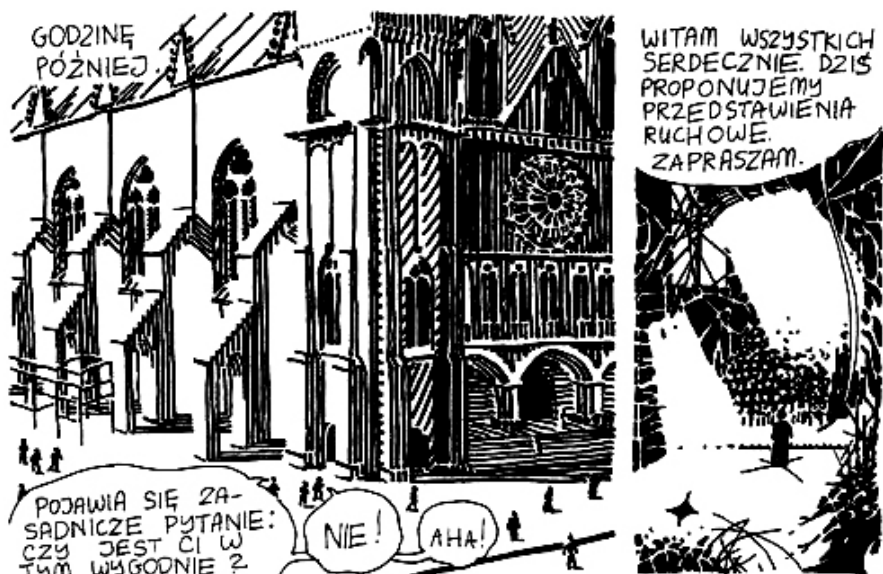
Współpraca z kilkoma scenarzystami zaowocowała publikacjami drukiem: Wizyta (sc. Nikodem Skrodzki) – AQQ nr 23, Wznowienie Żbika (sc. Jerzy Szyłak) – antologia Wesoły finał, Fucha (sc. Tomasz Sitek) – Magazyn Fantastyczny nr 3/2004.



Do własnych oraz zaadaptowanych z literatury scenariuszy publikował też w gdańskim fanzinie VormkfasA, w autorskim Turlaki (nr 1-3), w pierwszym numerze miesięcznika ChiChot (pasek Robot) oraz w piątym numerze Zeszytów Komiksowych (short Pojedynek).



Nieregularnie bierze udział w internetowym konkursie na pasek komiksowy (zwycięzca edycji 43. Trzej Królowie). Ma za sobą kilka wystaw zbiorowych i jedną indywidualną. Współtworzył też oprawę plastyczną kilku tomików poezji poetów zakola rzeki Redy.



Marynista. Od czasu do czasu zapalony modelarz i uczestnik konkursów na plakaty o prze-
różnej tematyce. Tymczasem obraca w kadry niezrealizowane dotąd scenariusze kolejnych
scenarzystów. W planach ma udział w konkursie na krótką formę komiksową.



PO PRZEDSTAWIENIACH ...
SŁUCHAJCIE! TEN SPEKTAKL! BYŁO IDENTYCZNE JAK W MOIM ŚNIE!



MOŻE USIĄDZMY... TAM.



A WIĘC - CO TO BYŁO?

NO... NIBY NIC. ALE PO RAZ DRUGI WYCHODZI NA TO, ŻE MIAŁEM PROROCZY SEN.



A TAM NIEPOKOJE...

ALE JE-DZIEMY!

SŁUCHAJCIE... JEDZIEMY DO GRECJI, TAK?

ODN.

Ulubiona technika rysowania – piórko i czarny tusz. Ulubiony kolor – niebieski. Miłośnik akwareli i dobrego wina. Obecnie zatrudniony na etacie jako projektant wyrobów kowalstwa artystycznego.

KOŃ A SPRAWA KOSMICZNA

Amerykański standard szerokości torów kolejowych (odstępu szyn) wynosi cztery stopy, osiem i pół cala. Prawda, że to dziwaczna liczba?

A czy wiesz, dlaczego taki właśnie standard się stosuje?

1. Ponieważ w ten sposób buduje się linie kolejowe w Anglii, a właśnie angielscy przybysze budowali amerykańskie linie kolejowe.

Dlaczego jednak Anglicy budowali je właśnie tak?

2. Ponieważ pierwsze linie kolejowe budowali ci sami ludzie, którzy budowali wcześniej linie tramwajowe, a tam właśnie stosowano ów standard.

Dlaczego jednak stosowano tam taki standard?

3. Ponieważ ludzie, którzy budowali linie tramwajowe, używali tych samych szablonów i narzędzi, jakich używali przy budowie wagonów tramwajowych, które miały taki odstęp kół.

W porządku! Ale dlaczego wagony miały taki właśnie dziwaczny odstęp kół?

4. No cóż, gdyby próbowali zastosować jakiś inny odstęp – łamaliby pewną starą zasadę budowy dalekobieżnych dróg angielskich, ponieważ mają one taki właśnie odstęp kolein na koła.

Któż to budował te starodawne drogi z koleinami?

5. Pierwsze dalekobieżne drogi w Europie (i Anglii) zbudowało Imperium Rzymskie dla swoich legionów. Drogi te były w użyciu przez wieki.

Ale skąd te koleiny?

6. Pierwotne koleiny uformowały rzymskie rydwany wojenne; każdy inny użytkownik tych dróg musiał się dostosować do nich, gdyż inaczej uszkodziłby koła swoich pojazdów.

7. Ponieważ rydwany były wykonywane dla Imperium Rzymskiego, były one wszystkie do siebie podobne, jeśli idzie o rozstęp kół.

Jak widać – amerykański standard odstępu szyn kolejowych pochodzi od parametrów technicznych rzymskich rydwanów bojowych. A biurokracja jest wieczna.

Zatem następnym razem, kiedy dostaniesz do ręki jakąś dokumentację techniczną i zaczniesz podejrzewać, że może ona mieć coś wspólnego z końską dupą – będziesz mieć absolutną rację, ponieważ rzymskie rydwany wojenne były konstruowane tak, aby ich szerokość była dostosowana do sumarycznej szerokości zadów dwu koni bojowych.

A teraz małe rozwinięcie tematu...

Kiedy spoglądasz na kosmiczny wahadłowiec na stanowisku startowym – widzisz dwie duże rakiety startowe przymocowane po bokach głównego zbiornika paliwa. Są to rakiety na paliwo stałe (w skrócie: SRB) produkowane w firmie Thiokol, w stanie Utah.

8. Inżynierowie, którzy projektowali SRB, woleliby, aby były one nieco grubsze, ale... SRB transportuje się z wytwórni na stanowisko startowe koleją.

9. Tak się złożyło, że linia kolejowa biegnie na pewnym odcinku przez tunel wydrążony w górze. Rakiety muszą się zmieścić w tym tunelu. Tunel jest tylko odrobinę szerszy niż linia kolejowa – a linia ta, jak już wiesz, ma szerokość dwu końskich tyłków...

Tak więc jeden z głównych szczegółów konstrukcyjnych kosmicznego wahadłowca, być może najbardziej zaawansowanego systemu transportowego na świecie, został zdeterminowany ponad dwa tysiące lat temu przez szerokość końskiej dupy!

[z Internetu]

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.art.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski,
Michał Szklarski

KOMIKS: Tomasz Mering

GRAFIKI: Piotr Terszel (3, 5)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR

221

**Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów
i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji**